

TYGODNIK ZAKOPIAŃSKI.



Nr. 6.

Cztery miesiące w Zakładzie dra Chramca.

I.

— Dziś przyjechało ośmnaście osób! — oznajmia mi ruchliwa panna Rózia a czarne jej oczka aż błyszczą z dumy i zadowolenia.

— Pięknie. Ale czy macie je gdzie pomieścić?

— Z trudem.

— A więc przepełnienie?

— Sezon lepszy niż poprzedni, pomimo deszczu, pomimo agitacyi, pomimo wszystkiego.

Schludnie, zgrabnie ubrane dziewczę uderza w tam tam. Biegnie wśród wspaniałych świerków — migoce w złocistej strudze słońca. — Odgłos przejmujący rozlega się szeroko. — Ze wszystkich stron zaczynają nadchodzić goście. Szeleści jedwab, delikatne rozwiewne muśliny, koronki, wynurzają się wśród zieleni drzew. Drobne dziecinne nóżki ledwo odziane w sandałki, różowe i delikatne, jaśnieją po szmaragdach trawy.

W parku dźwięczą srebrne śmiechy dzieci. Weranda cała się zapełnia. Słychać dźwięki muzyki. Orkiestra grywająca do obiadu, strojna w białe guziki, zajmuje miejsce. Przez długą chwilę wchodzą całe szeregi gości, z blaskami słonecznymi w oczach, z uśmiechami słonecznymi na ustach. Smukłe postacie panien biało ubranych, strojne suknie dam, mieszają się w tęczową smugę. Tło złociste ścian sali podnosi barwy, uwydatnia linje. Jestto raczej zebranie towarzyskie, jakiś wieczysty raut, szermierka słów, dowcipów, wymiana wrażeń. Na stołach snopy kwiatów górskich — czarujących prostą szlachetną pięknością. W krysztale dzbanów, w srebrze nakrycia, migocą słoneczne iskierki. Spokój, wesele, swoboda i chłonięcie w siebie Piękna, przepełnia salę. Pięć olbrzymich stołów zajętych doszczętnie. Goście z dalekich stron! Z Port-Said, z Wołynia, z Moskwy, z Paryża, z Warszawy, z Wiednia... Zewsząd przybyli szczęśliwi, że się dostali na czas i znaleźli pomieszczenie w Zakładzie dra Chramca. Wszyscy prawie goście stali, dawni — ci którzy czują się „jak w domu" — w tym Zakładzie, który jest najdoskonalej zorganizowanem uzdrowiskiem dla nerwowych, zwłaszcza chorych, jakie spotkałam.

Cztery miesiące bawię tutaj i mogę en connaissance de cause powiedzieć te słowa: Będąc ciężko nerwowo chorą zbadałam sama, jaki system jest dla przyniesienia sobie ulgi najlepszy. — I jestto system nie zwracania uwagi na swoje nerwy. Należy odrazu en plein pied znaleźć się w otoczeniu ludzi zdrowych, w słońcu, w zieloności, w sile życiowej, będącej pierwszym warunkiem istnienia. Należy przedewszystkiem, aby kuracja nie narzucała się, lecz cierpliwie wyczekiwała odpowiedniej chwili i usposobienia, aby się zbliżyć z propozycją ulgi. — U dra Chramca system ten nadzwyczaj umiejętnie zastosowany, wydaje doskonałe rezultaty. W przeciwieństwie do Winternitza, który tyranizuje niejako swych pacjentów, zmuszając ich do szeregowego i masowego leczenia — pacjenci u Chramca zachowują swoją indywidualność. Z całą inteligencją do ich nietylko stanu zdrowia, ale stanu psychicznego zastosowuje się kuracja i w tem leży wysoko postawiona wartość lecznicza Zakładu. — Chory nie

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu" z dnia 2 Sierpnia 1903 r.

czuje w lekarzu gnębiącego go zdrowego wroga, lecz nabiera do niego zaufania, przywiązuje się prawie i wierzy mu, nie będąc brutalnie szarpany i wyszydzany. — W doskonale urządzonych łazienkach, gdzie całe aparaty tuszowe i kąpielowe funkcjonują dzień cały pod okiem lekarzy — nie rozgrywają się brutalne sceny, jakie mają miejsce w zagranicznych Kuranstaltach hydroterapicznych. I stąd pochodzi zaufanie chorego. Nerwowo chorzy są stokroć nieszczęśliwszymi i bardziej pożałowania godni, niż inni. — Zakład taki, jak dra Chramca, musi być prowadzony z wysokim taktem i inteligencją. — Ponad wiedzą lekarską musi tu jeszcze górować znajomość duszy ludzkiej, odczucie jej nędz i cierpień i to uwzględniane być musi we wszystkiem, w urządzeniu pokoi, w wytresowaniu służby, w zaprowadzeniu regulaminu zakładowego, w podaniu pomocy lekarskiej.

Bo tu — do tego Zakładu przyjeżdżają głównie ludzie znużeni pracą umysłową, zdręczeni smutkiem życiowym, zjedzeni warunkami drobiazgowej egzystencji. Tulą się pomiędzy świerki, w słoneczne trawniki, o porannej mszy stają u drzwi kapliczki, z której bije woń żywicy i świeżych lilij. — Gdy zmrok zapada, snują się po alejach parku wśród kłąbów dzikiego jaśminu i patrzą, jak nad szczytami gór zapalają się powoli drżące światełka gwiazd.

Zdaleka — od kaplicy dolatuje śpiew. Zmrok roznosi tony na swych rozpiętych skrzydłach. — Płynie prosta czarująca pieśń. — Otwartą bramą płyną górale, dzieci, dziewczęta w serdakach. Idą na wieczorne nabożeństwo, ku kaplicy, która cała goreje od płonących świec. — Dziwny spokój, dziwne dobro ogarnia duszę chorego. — I jak ptak zraniony pogrąża się w tej płynnej fali spokoju i odosobnienia wśród tłumu. Po alejach snują się cienie ludzkie — z gór płynie szafirowa mgła.

Wród chorych chodzą lekarze — nie „dozorcy“ — lecz ci, którzy wnikają w głąb naszych dusz. — Oni umieją czytać w źrenicach, umieją rozpoznać smutniejszy, bardziej bolesny gest. — Zamiast recept, bromów, musowych tuszów — mają dla chorych przedziwną moc uspokojenia. Nie spotkałam nigdzie tak wysokich intelligencji w lekarzach, ani tak wielkiej subtelności duchowej, jak w Zakładzie dr. Chramca.

Nikt tak nie dźwignie na duchu chorego, jak znakomity lekarz dr. Gaik, nikt tak nie wyczuje stanu duszy jak dr. Andruszewski, nikt znów nie doda tyle żywiołowej pogody jak dr. Kwiatkowski. Po nad tem wszystkiem czuwa ze swym dobrym, przyjaznym, spokojnym uśmiechem sam dr. Chramiec, czynny — pełen energi, i siły. Wszędzie spotkać można jego charakterystyczną postać otuloną w fałdy peleryny — przystępną i sympatyczną dla wszystkich. Człowiek, który powstał własną pracą, ma w sobie siłę i prostotę smreków, wśród których wyrósł. — Z gór wali się wicher halny a smreki Zakopiańskiej doliny i Chramcowego parku stoją proste i nie złamane niczem.

II.

Gdy ostatnie blaski dnia zagasną i łagodny blask elektryczności zaleje park Zakładu — do sali obszernej zaczynają się schodzić goście zakładowi. Przychodzą tam wszyscy, niemal bez wyjątku, bo jest w tej sali jakiś urok inny, niż mają banalne sale Kuranstaltów zagranicznych. Niema tu bezmyślnych przetrawień chwil życia. Tu — każdy wnosi swą indywidualność, swój świat, nie stapia go w ogólną massę, nie dozwala się żywić nim innym, nie rozprasza poprzednio zabranych wrażeń.

Gwar zebranego tłumu nie jest to co Francuzi nazywają *gloussement inutile* (niepotrzebne gdakanie). W tym gwarze można wysłuchać nietylko swych słów, lecz ocalić jak nitkę myśl, z którą się na salę weszło. I jest to dowód, że ten tłum zebrany składa się z dużych inteligencji nierozpraszających się, lecz mimo nerwowości posiadających siłę skoncentrowania swych własności duchowych. — Jest to także ogromna dodatnia strona w ukształtowaniu się klijenteli Zakładu, to dobranie się ludzi szanujących swoje wewnętrzne światy i czujących tem samem szacunek dla wewnętrznego świata obok żyjących istot. — Nic bowiem tak nie zszarpie nerwów, jak codzienny kontakt z ludźmi, wynoszącymi małostki zakurzonej egzystencji do rozmiarów katastrofy życiowej. Tego u dr. Chramca spotkać nie można i ztąd panuje ta harmonja wrażeń, myśli, harmonja i ocalenie od porysowania poszczególnych n a s z y c h światów, które całe życie z takim nakładem wysiłków, bolu, poświęceń, doświadczeń — tworzyliśmy.

Czasem — z tych gwarów, szmeru i gam słów, wypłynie nagle dźwięk skrzypiec. I umiera, kona, łka ostatniem westchnieniem dusza Azy, albo snuje się mistyczną falą legenda Wieniawskiego. Czasem zadrga cicho menuet Paderewskiego, a klawisze fortepianu mają wtedy czar pudrowanych epok, czasem ktoś rzuci w przestrzeń nastrojony sonet o oczach „co nad nędzą i rozpaczą — dużemi łzami płaczą, płaczą...

I z tych nastrojów, z tych melodji cichych — jak kwiat młodości wykwita nagle walc, łączący pary w wykwintnych pięknych linjach. — Suknie kobiet zakreślają prześliczne półkoła — powiew wesołości przepełnia salę. — Pod elektrycznemi grupami świateł tańczy cała teorja par, tańczy z upajającym wdziękiem. Z za pasków, bluzek, wypadają zebrane w dziennych wycieczkach kwiaty — pary tańczą po nich, rozrzucając zwiędłe storczyki, letuje, dzwonki.

Po za oknami gromadzą się całe grona ciekawych. — Ta sala Chramca — to punkt zaciekawienia całego Zakopanego. — Tu widzieć można znakomitości literackie, artystyczne. — Tu widzi się świat odrębny, arystokratyczny duchowo, odcięty od reszty Zakopanego. Tu są wszyscy „u s i e b i e“ i stąd zaciekawienie ogółu.

I nagle przychodzi dziesiąta godzina, nieubłagana dziesiąta godzina, i światła powoli przyga-

sają i walc stopniowo milknie — widać rozchodzące się po kurytarzach cienie — i zapanowuje wielka nad Zakładem cisza.

Tylko czasem wicher smreki parku poruszy i zaszemrzą one, jak stada zbudzonych orłów.

W głównym Zakładzie, w pawilonie pod Matką Boską, w domu Dyrektora – powoli gasną światła. Przychodzi sen, pół - śmierć i wszystkich otula w swe dobroczyne, ciemne bezkresu skrzydła.

W pokojach lekarzy płonie światełko, czuwają dyskretnie, w cichości — gotowi w każdej chwili nieść pomoc, wiecznie cierpliwi, pogodni, pełni wyrozumienia. Lecz nerwy pacjentów są uspokojone, zmęczone ich chore dusze we śnie odpoczywają, jakby w odrętwieniu.

Nawet nie budzi ich wicher, ani łomot deszczu, chyba że bardzo w życiu cierpiały i bardzo są smutne.

III.

Spostrzegam w tej chwili że odbiegłam od założonego planu.

Chciałam pisać o Zakładzie Dr. Chramca w zwykły, przyjęty w tych razach sposób. — A więc należało pochwalić wzorową czystość w pokojach, doskonałą kuchnię, dbałość o wygodę i zdrowie dla gości. — Lecz o tem wiedzą wszyscy — a dowodem jest przepełnienie tegoroczne Zakładu, i napływ gości tak liczny, jaki nigdy jeszcze nie był w poprzednich sezonach. — Lecz dla mnie zasadniczą, dodatnią cechą, była właśnie ta psychiczna strona pacyentów, tak uwzględniona i tak pielęgnowana przez Dr. Chramca i jego asystentów. — I tem właśnie tłomaczyć należy to „powracanie“ gości, skoro raz już przyjechali do Zakładu. —

Tu widocznie coś więcej działa niż dobra kuchnia i wzorowy ład w urządzeniu Zakładowem. — Tu jest przywiązanie się duszy do tych ścian, do tych ludzi, z któremi jej było dobrze, wśród których ją wyczuto i zrozumiano. — I wraca znów z szerokich burz życiowych w cichy kąt na Chramcówkach, pomiędzy smreki, do drzwi kapliczki, z której płyną wonie żywicy i lilij, do parku, po którym snuje się górska błękitna mgła, do tej sali, gdzie po kwiatach tańczą blado ubrane dziewczęta, roześmiane i wesołe. —

Bo Zakład Dr. Chramca nie jest prostą maszyną do inkasowania pieniędzy od gości otrzymywanych, lecz jest czemś więcej, to jest to „u siebie“. — które znajduje duch zmęczony i smutny. — Powoli godzi się tu z życiem — wchodzi w kompronis z egzystencyą. — Ułatwione i ułożone doskonale przez Zakład warunki codziennego, zewnętrznego życia — dozwalają bez szarpania się uniknąć w siebie i obliczyć, co nam z wędrówki naszej życiowej przyszło. — I często odkrywamy w duszy naszej niespodziane skarby, które później roskwitnąć mogą czarującą pięknością wielkiego jakiegoś Dzieła.

I dlatego do Zakładu Dr. Chramca wracamy.

Gabryela Zapolska.

KRONIKA.

Śnieg w górach. W pierwszych dniach ubiegłego tygodnia spadł śnieg w górach. Pokryte nim były wyższe szczyty i droga od wodospadów Mickiewicza do Morskiego Oka. Śnieg stopniał bardzo szybko, tak że obecnie widać jego ślady już tylko na stokach Świnicy.

W niedzielę d. 2 sierpnia odbędzie się w parku dra Chramca wielki festyn, połączony z loterją fantową na dochód budowy internatu dla uczniów szkoły zawodowej przemysłu drzewnego w Zakopanem. W czasie festynu przygrywać będzie muzyka miejscowa.

Koncert. Chór męski Towarzystwa muzycznego z Krakowa, pod dyrekcją Wiktora Barabasza, zapowiedział swój koncert w sali „Morskiego Oka“ na dzień 3 sierpnia.

Koncert Stanisława Barcewicza ze współudziałem pianisty W. Osińskiego odbędzie się 7 sierpnia w sali „Morskiego Oka“.

Z teatru. We środę 29 lipca trupa p. Müllera odegrała sztukę p. Gabryeli Zapolskiej „Tamten“. Licznie zebrana publiczność przyjmowała autorkę owacyjnie. Udział w przedstawieniu przyjęli znani artyści teatru krakowskiego: — Zelwerowicz w roli Korinłowa i Czechowska — w roli Anny. Prócz tego wystąpił gościnnie p. Krzewiński, który z wielkim talentem odegrał rolę Stretkofa.

Komisya klimatyczna ogłosiła konkurs na posadę lekarza klimatycznego; posada prowizoryczna, 1600 kor. rocznie a 800 koron za kierownictwo szpitalem. Podania wnosić mogą lekarze do 15-go sierpnia. Posada do objęcia od 1 września.

Uchwalono wynająć na dom zdrojowy (zanim własny powstanie) dwór Towarzystwa tatrzańskiego, albo salę w hotelu Turystów wraz z ogrodem — zależnie od tego, czy Towarzystwo tatrzańskie zechce przypuścić do swego lokalu także nieczłonków Towarzystwa.

Właściciel hotelu Morskie Oko ofiarował bezpłatnie werandę dla gości klimatycznych.

Postanowiono energiczniej zlewać ulice, poprawić chodniki na Krupówkach i postarać się razem z gminą o wybudowanie kanału pod ulicę Chramcówki dla wód atmosferycznych.

Asanacja Zakopanego. Zakład hygieny w Krakowie, uproszony przez Zwierzchność gminną zako-

pańską, wypracował memorjał w sprawie asanacji Zakopanego i właśnie w tych dniach przesłał tę pracę zarządowi gminy. Referentem memorjału jest dr Leonard Bier znany z licznych prac i odczytów z dziedziny kanalizacji, oczyszczania wód kanałowych, rozpoznawania fałszowań środków spożywczych itd. Memorjał będzie rozpatrywany przez Radę gminną zakopańską, a może przez obszerną ankietę hygieników i techników. Stanowi on bardzo poważne dzieło, nie tylko dla Zakopanego — lecz także dla wielu podobnych miejscowości, nie wątpimy bowiem, że stanie się dla szeregu miast i miasteczek podstawą ich urządzeń zdrowotnych.

Na razie zaznajomimy czytelników naszych z wnioskami do których autor memorjału doszedł — stosując uwagi swoje ściśle do Zakopanego:

1) Obecny sposób gromadzenia i usuwania odpadków z bardzo małemi wyjątkami pozostawia wiele do życzenia pod względem hygienicznym i wymaga jaknajrychlejszej poprawy.

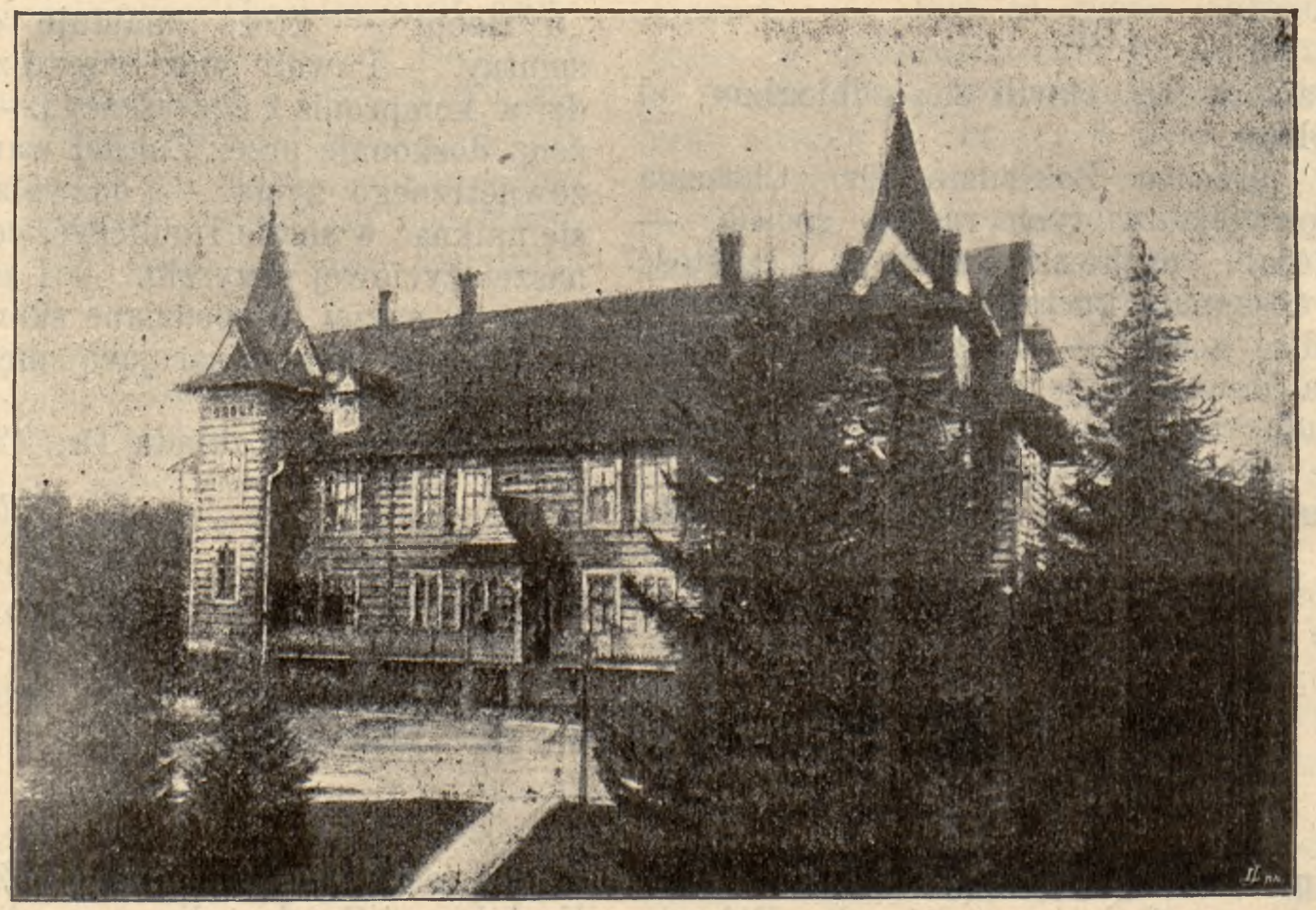
2) Urządzenie kanalizacji spławnej ze względów zdrowia nie jest koniecznem, z uwagi na obecną i w ciągu najbliższych lat dwudziestu prawdopodobną gęstość zaludnienia.

3) Z systemów wywozowych dla treści kloacznej, dla stosunków obecnych i na przyszłe lat dwadzieścia zupełnie wystarczy i jest pod względem hygienicznym odpowiednim system dołowy, wykonany przez gminę według załączonych planów i uwag powyższych z wywozem uregulowanym i objętym przez gminę; system ten jest nadto najtańszym.

4) Dla usuwania wód nieczystych służyć mogą w najbliższych latach dwudziestu filtry zlewne, pod warunkiem zaprowadzenia wodociągu, zniesienia dotychczasowych studzien i zdrenowania wilgotnych przestrzeni.

5) Do gromadzenia śmieci i innych odpadków stałych domowych, należy zaprowadzić skrzynki. Opróżnienie skrzynek i wywóz śmieci winien być uregulowany i objęty przez gminę.

6) Ze względu na dalszy rozwój Zakopanego, jako stacji klimatycznej, należałoby wziąźć pod uwagę; wyłączenie z dotychczasowego obszaru stacji klimatycznej przestrzeni najlepiej zabudowanej, wprowadzić na niej obowiązkowe zabudowanie systemem will i na tej przestrzeni zaprowadzić już obecnie kanalizację spławną, której sieć rozszerzanoby w miarę tworzenia nowych ulic.



ZAKŁAD Dra CHRAMCA W ZAKOPANEM.

Wyrywając z całości wnioski, które są wynikiem ściśle naukowego rozumowania i bardzo trzeźwego sądu o stosunkach Zakopanego, nie dajemy czytelnikowi dokładnego obrazu argumentów wykazujących, że takie a nie inne należy zaprowadzić w Zakopanem inwestycje. Mimo to każdy nieuprzedzony widzi, że w pracy tej objęto wszelkie możliwości i po dokładnej rozwadze i obliczeniach bardzo ścisłych wydano opinię, z której nic ująć ani dodać nie można.

Memorjał jest obszerną pracą naukową z licznemi tablicami, datami statystycznemi — badaniami wód studziennych, zdolności nitrifikacji gruntu i to — powinien być wydany drukiem a tem samem dostępny dla każdego, jako podręcznik nie-

mal dla każdego, kto chce o asanacji gdziekolwiek pisać lub mówić.

W krótce będziemy mogli podać niektóre urywki z tego memoryału na razie na tem kończymy.

Pożyteczne towarzystwo. Nędza i ubóstwo między uczniami c. k. szkoły zawodowej przemysłu drzewnego w Zakopanem, natchnęły ludzi litościwych myślą utworzenia jakiegoś Towarzystwa dobroczynnego, któreby niosło pomoc uczniom nie mającym żadnych środków do utrzymania, jakoteż i tym, którzy z wielką nędzą walczyli.

Do pierwszych osób, które myśl tę postanowiły urzeczywistnić, należały panie: Nowohońska, śp. Wołoska, wraz z dyrektorem szkoły ś. p. Franciszkiem Neużylem. Owe panie z końcem r. 1891 zajęły się energicznie tą sprawą. Prowizoryczny komitet pań utworzył Towarzystwo pomocy naukowej z siedzibą w Zakopanem, którego statut zatwierdziło c. k. Namiestnictwo. Towarzystwo ukonstytuowało się dopiero 23-go października 1892 wybrawszy Wydział, w którego skład weszli: jako Przewodniczący hr. Natalia Tyszkiewiczowa, zastępczyni Iza z ks. Puzynów Rylska, sekretarka Emila Chwistkowa, kasjer Dyrektor szkoły ś. p. Franciszek Neużyl i Pani Kornelia Grobska. Jako zastępczyni Kasylda Florkiewiczówna, Józefa Nemytowa i Marya Makswaldowa. Głównym zadaniem tego nowo założonego Towarzystwa było wspieranie uczniów przez udzielanie im środków do życia, jako też opieki moralnej, wreszcie dołożenie starań w celu założenia internatu dla uczniów szkoły zawodowej. Ze względu na nieznaczne fundusze Towarzystwa działanie jego ograniczało się początkowo na udzielanie najbiedniejszym uczniom obiadów, przeciętnie dla 20 uczniów i na urządzaniu wigilii w święta Bożego Narodzenia, jako też święconego w święta Wielkanocne; koszta te wynosiły rocznie przeciętnie (430) złr. 860 Kor. Z czasem od roku 1898 Towarzystwo poczęło zmiejszać liczbę wydawanych obiadów, kładąc główny nacisk na gromadzenie funduszów, na zbudowanie internatu; w roku 1898 zakupiono grunt pod internat za 3.940 Kor. Obecnie posiada Towarzystwo oprócz gruntu 9.400 Koron gotówki, ulokowej w kasie zaliczkowej w Zakopanem.

Wielkie zasługi od początku do dziś dnia około przysporzenia funduszu dla Towarzystwa położyła p. Iza z Puzynów Rylska i najświetniejszy rozwój przypada na czas, kiedy była prezesową Towarzystwa — również wielkie zasługi położyły pp.: Józefa Neużylowa, Kornelia Grabska i Emilia Chwistkowa. W skład wydziału wchodzą obecnie: p. Grabska, przewodnicząca, p. Neużylowa, zastępczyni, ks. Józef Oizeł, sekretarz, p. Regiec Wincenty, skarbnik i dr. Majewicz.

Budowa internatu zapewne wkrótce się rozpocznie.

Gdzie gencyany kwitną?

Dokończenie.

II.

Czy tęsknią?...

Patrzyła długo na kwiatki nie ruszając ich, nie dotykając się nawet, jakby nie śmiała, czy lękała się tego bezpośredniego kontaktu. — Milczenie to trwało tak długo, iż wreszcie zapytałam się cicho, tak, jakbym lękała się spłoszyć coś bardzo nieuchwytnego, co budzić się zaczynało.

— No i cóż Zośka? —

— Ocknęła się jakby z uśpienia, czy z omdlenia i cicho spytała.

— Ha?...

— Poznajesz te kwiatki? —

— No!

— Jakże się nazywają? —

— Dzwoneczki. —

Dojrzałam w świetle lampy, iż palce Zośki wykonywują dziwny i może bezwiedny ruch. Zaczęły zaciskać się dokoła grudki ziemi wolno, nieznacznie, ale zaciskały się tak, jakby ona chciała poczuć w swej dłoni silną pieszczotę i obecność tej chłodnej, wiosennej, napojonej jeszcze górskim śniegiem ziemi.

W pokoju była wielka cisza.

Gwar miasta nie dolatywał tutaj. Dzwony kościelne umilkły w wieczorną porę. Zośka była sama ze swą budzącą się duszą, która zdawała się spływać prądem miłości przez palce góralki ku tym szafirowym, biednym, drobniuchnym kwiatkom.

Zośka stała cofnięta w głąb, tak, że widziałam tylko jej wyciągniętą rękę, w której trzymała gencjany, lecz jestem pewna, że i twarz jej ulegała stopniowej przemianie. Musiały po tej masce przewijać się uczucia nie wygasłe jeszcze, pomimo, że wszystko składało się na ich wytępienie.

— Czy wiesz Zosiu! — zaczęłam wreszcie — jedziemy do Zakopanego na lato. Chcę cię wziąć ze sobą. Będziemy mieszkać na Skibówkach, niedaleko od twojej dawnej sadyby... Cóż cieszysz się?...

Nastrój, jaki przyniosły gencjany, kazał mi się spodziewać pewnych oznak radości ze strony Zośki. Lecz oto — ręka trzymająca gródkę ziemi,

wyciągnęła się nagle i Zośka położyła kwiaty na stole tuż pod światłem lampy. —

— Niek państwo jadą sami — ja nie pojadę! wyrzekła cichym głosem.

— Dlaczego? —

— „Nie kcę! — Kiela coś nie widziałam gór i nie kcę ich widzieć nigdy już. — Miałam ja już raz ich widzenie, to mnie tak dojeno, zem się tylko ozpojeździła i stęskniła, tak zem se mieńsca znaleźć nie mogła!“

Nie widziałam Zośki, bo stała teraz prawie ukryta za kotarą łóżka, ale głos jej, który do mnie dolatywał, był taki inny, taki miękki, taki kobiecy, że poznać go nie mogłam.

Słuzyłam juz u takich państwa, — mówiła dalej z cieniu Zośka, — co pojechali na lato do Rabki. I mówi do mnie pani, jedź Zośka do Zakopanego, przywieź nom serków owczych i zobacz se góry, boś ty przeciek z tustela. — Zamgliło mie, ale niefciałali się pani sprzeciwić, bo się o mnie zawsze piknie starała... Ale jakem juz dojechała do Poronina, a potem wesłam na Starą Polanę, jak poźrę na hory, na wanty, na smreki, na świerki... jak pomyślę, ze tam naski dom, a w nim niw to z moich tylko cudze siedzą, to serce zaceno we mnie zamierać i omglewać, a tak mi było luto, ze już myślałam, ta złość mnie rozerwe. — I poderwałam się i poleciałam nazad, bo zebym jesce tamok pobyła, to moze byłabym dociszła z t́ej załości... Przez syrków się wróciłam... i niekce już haniok iść! niekce! niekce!

Ostatnie słowa wymówiła Zośka prawie z płaczem. Głos jej cichy przeszedł prawie w krzyk i był to wielki smutek w tej obronie w łatwości życiowej pogrążonej istoty — przeciw wrażeniom bolesnego piękna, jakie z przywiązania do stron rodzinnych wykwitnąć jeszcze dla niej mogły.

Milczałam — bo czułam, że sztuczny miejski dobrobyt zgnębił i przewyższył odczucie świeżości zamiłowania do tego, co „swoje“, — i że próżna byłaby wszelka walka z pełnem kuferkiem, książeczką kasy oszczędności z jednej, — a srebrem szumem potoków smereków i szafirem gencyan z drugiej strony. Pozwoliłam więc wysunąć się cicho, jakby cieniowi, Zośce z pokoju.

Przeszła skulona w swych chustkach i włóczkowych mitynkach, jak pies lubujący się w ciasnocie budy.

Gdy była na progu — zatrzymałam ją gestem.

Weź sobie przynajmniej te dzwoneczki... będą ci choć trochę przypominały góry!

Zośka stanęła i widocznem było, iż chwileczkę walczy ze sobą

Nagle — odwróciła się i ochrypłym głosem wyrzekła.

— Niekce... i kwiatów niekce... ja mam róże z bibuły, co przystroiłam w nik Najświętszą Panienkę.

Znikła za drzwiami i za chwilę słyszałam ją, jak żarliwie w kuchni klepała litanię.

* * *

Pod światłem lampy szafirowe, górskie kwiatki, jakby strwożone stuliły swe śliczne kielichy, które tak czarująco roztwierają się w blasku słonecznym u stóp gór, pokrytych srebrem zlodowaciałego śniegu.

Gabryela Zapolska.

Zakopane, 1903. w maju.

HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

— Pokaże się to w przyszłości — wtrąciła chłodno.

— Być może — mówił. — Powtarzam raz jeszcze, że podziwiam panią i wielbię, o ile nie mieszasz się do spraw moich osobistych. Takiego wtrącania się do mnie nie dozwalam nikomu, nawet miljonerom i... pięknym kobietom -- dodał, składając jej głęboki ukłon. — Powiem pani, co czynić zamierzam: ukryję ją w miejscu bezpiecznem i trzymać tam będę tak długo, póki rozpoczęta przezemnie sprawa nie zostanie załatwioną a temsamem odjętą możność stawiania mi przeszkód. Posądzałaś mnie pani przed chwilą o morderstwo; co za dziwne przypuszczenie! Mordować można tylko z amatorstwa...

— A Reginald Dimmock? — zagadnęła.

Umilkł na chwilę i sposępniał.

— Reginald Dimmock — powtórzył — sądziłem, że umarł na anewryzm serca. Pozwól pani przysłać sobie drugą filiżankę czekolady. Musisz być bardzo głodna.

— Zamorzę się raczej, niżeli dotknąć miałabym pożywienia, pochodzącego z rąk pana.

— Śliczne stworzenie! — szepnął, pożerając ją oczyma. Czarowała go jej uroda i dumna postawa. — Ah! co za żona byłaby z pani! — zawołał, przystępując do niej bliżej. — Ty i ja, panno Racksole, twoja piękność i bogactwo, a mój rozum! Moglibyśmy, razem złączeni zdobyć cały świat! Nie wielu ludzi godnych jest być dozgon-

nymi towarzyszami twymi, ale ja należę do tych niewielu. Posłuchaj, błagam! zechciej mnie zaślubić. Mogłabyś gorszy zrobić wybór; jestem niepospolitym człowiekiem i czeka mnie świetna przyszłość. Uwielbiam cię; zostań żoną moją, a ocalę ci życie. Wszystko ułoży się jaknajlepiej; wejdę na nową drogę; przeszłość będzie zapomnianą.

— Postanowienie zbyt nagłe... Juljanie — odezwała się z pogardą.

— Żądasz konwencjonalnego oświadczenia? — pytał. — Kocham panią.

— Cóż za los w takim razie spotkać ma teraźniejszą żonę pana?

— Moją żonę?

— Rozumie się; tak zwaną pannę Spencer?

— Mówiła pani, że jestem jej mężem?

— Oświadczyła mi to stanowczo.

— Skłamała.

— Być może, w każdym razie nie zgodziłabym się nigdy zaślubić takiego, jak pan człowieka — rzekła Nella, pełna gniewu i oburzenia.

On ciągle zbliżał się do niej.

— Daj mi chociaż pocałunek... — prosił — jeden pocałunek; nie żądam więcej, a będziesz wolną. Podobnie jak wielu innych, gubię się dobrowolnie za pocałunek kobiety.

— Nikczemnik? — powtórzył — ja nikczemny! Dobrze; dowiodę, że zasługuję na to miano i chcesz, czy nie chcesz, pocałować mnie musisz!

To rzekłszy, pochwycił ją za ramię. Przerażona wyrazem jego oczu, odskoczyła w tył z głośnym krzykiem. W tej chwili postać jakaś wysunęła się z za masztu. Jackson uderzeniem w głowę powalony został i bez czucia padł na ziemię. Książę Aribert von Rüdesheim stanął nad nim z rewolwerem w ręku.

— O chwilę spokoju panią proszę — mówił do Nelli. — Gdy tylko załatwię się z tym łotrem, wyjaśnię jej prosty zbieg okoliczności, który mnie tu sprowadził.

Nella nie mogła przemówić słowa, zauważyła jednak broń, trzymaną przez księcia.

— Cóż to? mój rewolwer? zawołała zdumiona.

— Twój własny — przytwierdził książę. — Wytłómaczę wszystko zaraz.

Sternik, stojący przy kole, zdawał się nie zwracać na całe zajście uwagi.

X.

Bankier dworski.

— Pan Samson Levi pragnie widzieć się z panem.

Słowa te, wyrzeczone przez służącego, wyrwały Racksola z przykrej zadumy.

Wyznać należy, że pan Teodor Racksole, właściciel hotelu Babilon, nie czuł się bynajmniej zadowolony. Jakaś złowroga tajemnica ciążyła nad jego zakładem, a mimo wrodzonej bystrości umysłu, nie zdołał jej zbadać dotychczas. Wyśmiewał bezowocowne śledztwo policji, w duchu jednak przyznać musiał, że i jego starania nie osiągnęły celu. Wśród publiczności chodziły pogłoski o zniknięciu ciała biednego Dimmocka, wieść o tem przedostała się do gazet zagranicznych, Racksola zaś drażniła myśl, iżby jego hotel miał być przedmiotem dziennikarskich komentarzy. Rozmyślał, jakie plotki ludzie tworzyć będą, gdy dowiedzą się o innych niezwykłych wydarzeniach: o zniknięciu panny Spencer, o dziwnych odwiedzinach Juljana i zaniechanem przybyciu księcia Eugenjusza von Rüdesheim. Amerykanin mozolił się nadaremnie nad rozwiązaniem tych zagadek; bezskutecznie prowadził uciążliwe śledztwo, bezskutecznie wydał dużo pieniędzy. Policja mniemała, że zebrała pewne w tej sprawie poszlaki, ale Racksole uważał owe poszlaki za niedostateczne, skoro nie dały pożądanych rezultatów. Jedno było tylko pewnem, to jest, że nad jego świeżo nabytym, wspaniałym hotelem zawisła ciężka chmura i że rozproszyć jej nie miał możności.

— Pan Samson Levi pragnie widzieć się z panem — powtórzył służący, nie otrzymawszy odpowiedzi.

— Słyszę — rzekł Racksole. — Czy ma osobisty do mnie interes?

— Pytał o pana.

— Może potrzebuje pomówić z Rocc'iem dla ułożenia jadłospisu jakiej uczty?

— Dowiem się, jeśli pan sobie życzy — odparł służący i do drzwi zawrócił.

— Czekaj! — powstrzymał go nagle Racksole. — Przyprowadź tu pana Samsona Levi.

Po chwili wszedł bankier ze swobodą jakby dawnego znajomego. Był to mały, krępy mężczyzna, prawdziwy typ hebrajskiego finansisty, z kamizelką za krótką, zawieszoną zbytnią ilością łańcuszków. W tłustej ręce trzymał laskę o złotej gałce i prosto z igły kapelusz; był piątek, a pan Levi kupował każdego piątku nowy kapelusz ze względu na sobotnią uroczystość. Oddychał ciężko i sapał, jakby tylko co ukończył jakąś herkulesową pracę. Spoglądał na miljonera wzrokiem, w którym dopatrzeć można było rodzaj zakłopotania, ale jednocześnie twarz jego okrągła, czerwona wyrażała podziw dobroduszny.

— Pan Racksole, jak sądzę... pan Teodor Racksole? Zaszczyt to dla mnie wielki rozmawiać z panem.

W te słowa przemówił bankier Samson Levi. W rzeczy samej wyrażenie jego nie różniło się formą od noworocznych powitań kominiarzy, ale brzemienie jego głosu podobało się Racksolowi. Powiedział sobie w duchu, że ma przed sobą uczciwego człowieka.

— Dzień dobry — rzekł Amerykanin krótko. Czemu zawdzięczyć mam przyjemność?...

— Wiem, że czas pana drogi — odparł Levi — ja również nie mam wiele chwil do stracenia; przystępuję więc odrazu do rzeczy. Jestem prostym człowiekiem; nie roszczę pretensji do herbów ani do tym podobnych niedorzeczności. Pospolity ze mnie finansista i nie ukrywam tego

przed nikim. Przeszłego wieczoru wydawałem bal w pańskim hotelu. Kosztował mnie parę tysiączków funtów szterlingów i nawiasem mówiąc, napisałem już czek do banku dla pana. Nie lubię tego rodzaju zabaw, ale w mojem stanowisku bywają one pożyteczne, a żona moja znajduje w nich upodobanie. Zatem wydajemy niekiedy bale dla naszych znajomych. Nie mam nic do zarzucenia zarządowi hotelowemu, wszystko było przyzwoicie urządzone i elegancko podane, radbym dowiedzieć się tylko, dlaczego między gośćmi mymi znalazł się tajny ajent śledczy?

— Tajny ajent śledczy? — zawołał zdziwiony Racksole.

— Tak jest — przytwierdził bankier stanowczo, wachlując się kapeluszem i spoglądając na Amerykanina z wyrzutem — prywatny detektyw.— Sądziłeś pan zapewne, że jako właściciel zakładu masz prawo postępować w tym względzie, jak ci się spodoba. Przyszedłem, aby zaprotestować przeciwko takiemu postępowaniu. Nie mam zresztą pretensji, ale chodzi o zasadę.

— Kochany panie Levi — rzekł Racksole — zapewniam pana, że wynająwszy salę balową osobie prywatnej, na prywatną zabawę, nie mógłbym nawet pomyśleć o czemś podobnem.

— Rzetelnie — pytał Samson, używając zwykłego bankierskiego wyrażenia.

— Rzetelnie — powtórzył z uśmiechem Racksole.

— Był na moim balu gość, wcale przezemnie nie zaproszony. Mam osobliwy dar zapamiętania fizjognomii. Kilka osób zapytywało mnie, co on tam robił. Ktoś poznał w nim jednego z pańskich kelnerów, ale nie dałem temu wiary. Nie znam zwyczajów zachowywanych w hotelu Babilon. Nie lubię jadać po za domem, nie przypuszczam jednak, iżbyś pan kazał któremu ze swojej służby pilnować moich gości; tamten człowiek nie brał udziału w usłudze, lubo nie żałował sobie mego wina.

— Mógłbym może wyświecić w części tajemnicę — oświadczył Racksole. — Wiedziałem, że nieproszone indywiduum uczestniczyło w pańskim balu.

— Jakim sposobem doszło to do wiadomości pana?

— Prostym przypadkiem, panie Levi; ten człowiek był starszym kelnerem hotelu Babilon. To Julian... musiałeś pan o nim słyszeć.

— Nic nie słyszałem.

— Mówiono mi, że osobistość Juljana znali wszyscy; pokazuje się, że tak nie jest. Otóż w wilię pańskiego balu odprawiłem tego człowieka, zabraniając mu pojawienia się kiedykolwiek w moim zakładzie. Tymczasem owego wieczoru spotkałem go nie w sali balowej, ale w hotelu. Pytałem go, jakiem prawem tu się znalazł; on zaś dowodził, że jest gościem pańskim, panie Levi. To wszystko, co wiem, o tej sprawie, przykro mi tylko bardzo, iż pan mógł mnie posądzać o umieszczenie ajenta śledczego w gronie zaproszonych przez pana ludzi.

— Wystarcza to zupełnie — rzekł bankier po chwili. — Dziękuję za udzielone wyjaśnienia. Mówiono mi, że zmierzając prosto do celu, mogę polegać na panu Racksole i widzę, że mówiono prawdę. Co do tego łotra Juljana, będę ściągał o nim wiadomości. Czy wolno zapytać, dlaczego pan go odprawiłeś?

Nie wiem sam.

— Jakto pan nie wie? Sądziłem, że będę mógł otrzymać od pana niejakie wskazówki. Przepraszam za moją ciekawość.

— Nie potrzebujesz przepraszać, panie Levi. Ja naprawdę nie mogłem temu człowiekowi stawiać uzasadnionych zarzutów; czułem tylko, że mu ufać nie można. Odprawiłem go jakby z instynktu.

— Jeśli Julian jest tak ogólnie znaną osobistością — zagadnął bankier — jak mógł odważyć się przyjść na zabawę naszą?

— Nie zdołamy rozstrzygnąć tej zagadki — dowodził Racksole.

— Odchodzę zatem — mówił Samson Levi. — Żegnam i dziękuję. Przypuszczam, że pan nie masz zamiaru zakładać w naszej dzielnicy nowego jakiego banku?

Racksole śmiejąc się, potrząsnął przecząco głową.

C. d. n.

Ruch pociągów zakopiańskich.

Odchodzą z Krakowa do Zakopanego:	o 10 min. 25 rano o 11 min. 40 wieczór.
Przychodzą do Zakopanego:	o 7 min. 5 wieczór o 4 min. 5 rano.
Odchodzą z Zakopanego do Krakowa:	o 9 min. 20 rano o 4 min. 35 po poł.
Przychodzą do Krakowa:	o 4 min. 35 rano o 2 min. 36 po poł. o 11 min. 5 wieczór.
Odchodzą z Zakopanego do Lwowa przez N. Sącz i Tarnów:	o 9 min. 20 rano.
Przych. do Lwowa:	o 2 min. 31 po poł.

Spostrzeżenia meteorologiczne.

	23/7	24/7	25/7	26/7	27/7	28/7	29/7
Termom. such.	15·4	17·6	12·9	11·9	16·9	19·2	20
„ wilg.	13·5	16·4	11·9	11·4	15·4	16·8	17·4
Ozon	13	9	7	12	12	10	6
Term. maxim.	26·4	33·5	27·4	16·5	21·8	33·9	35·2
„ minim.	12·2	11·6	10·8	10·6	13·2	11·3	10·2
Term. na bar. .	21·3	21·6	18·0	16·4	21·7	23·7	20·8
Barometr . . .	696·8	692·4	693·3	693·8	695·0	696·4	696·1
Kierunek szyb. wiatru . . .	NNW3	EES 1	WWN1	WW 4	EEN 2	EEW 4	WWN6
Stop. zachmurz.	6 kłeb.	7 kłeb.	10 mgl.	10 mgl.	7 kłeb.	4 kłeb.	7 kłeb.
Wysok. opadu	14·2	0 opad	0 opad	16.3	7.3	0 opad	0 opad
Uwagi	deszcz	pogod.	pogod.	deszcz	deszcz	pogod.	pogod.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Dr. Antoni Beaupré.
Druk W. Korneckiego w Krakowie.